Gdzie są nasze pieniądze?

2 marca 2020

Powszechnie uważa się, że ilością pieniędzy w systemie steruje niepodzielnie główny bank państwowy. W polskim przypadku to Narodowy Bank Polski, a na świecie inne państwowe banki tego typu. Ba! Gdyby ktoś wątpił w rolę NBP w tej sprawie, niech przeczyta art. 227 Konstytucji RP.

Tam stoi czarno na białym, że „Centralnym bankiem państwa jest Narodowy Bank Polski. Przysługuje mu wyłączne prawo emisji pieniądza oraz ustalania i realizowania polityki pieniężnej. Narodowy Bank Polski odpowiada za wartość´ polskiego pieniądza”. Ponadto ustawa z dnia 29 sierpnia 1997 r. o Narodowym Banku Polskim w Art. 4. Stwierdza: „NBP przysługuje wyłączne prawo emitowania znaków pieniężnych Rzeczypospolitej Polskiej”.

Takie zapisy w Konstytucji i przepisach o NBP oraz komentarze ekspertów stwarzają nieodparte wrażenie, że to nasze demokratyczne państwo, za pośrednictwem NBP, decyduje o wszystkim, co dzieje się ze złotówką – o jej wartości i ilości w obrocie. Prawda? Też tak kiedyś myślałam.

Ale nic z tych rzeczy! Okazuje się, że to bullshit, blaga, kłamstwo i manipulacja?

Państwo Polskie, na mocy odpowiednich ustaw, powierzyło emisję złotówki bankom komercyjnym. W przeważającej liczbie, jak wiemy, prywatnym. Nie moją kompetencją jest tu rozstrzygać, na ile takie uprawnienia nadane ustawowo są zgodne z Konstytucją RP – ja wątpię, ale jest oczywistą prawdą, że podobnie działa system monetarny w całym, kapitalistycznie ukształtowanym, świecie.

Dla każdego jest jasne, że gospodarka współczesnego świata zależna jest od pieniędzy. Im ich w obrocie więcej, tym lepsza jest koniunktura gospodarcza. Kiedy jest ich za mało, to

gospodarka jest w kryzysie. Czyli im więcej udzielonych kredytów tym więcej pieniędzy jest w obrocie a gospodarka kręci się. Ale kiedy ludzie nie sięgają po kredyty albo banki komercyjne obawiają się ich udzielania w obawie przed tym, że nie będzie możliwości ich spłaty, wtedy nadchodzi kryzys.

Ilość oferowanych towarów i usług i zgromadzonych zapasów znacznie przekracza możliwości finansowe obywateli – nie stać ich, aby je kupić. A ponadto gospodarka świata w bardzo krótkim czasie jest w stanie wytworzyć i zaoferować rynkowi jeszcze większą, praktycznie wręcz niemal nieograniczoną ilość dóbr. Biznes nie robi tego tylko dlatego, że możliwości nabywcze obywateli są zbyt małe. Krótko mówiąc ludziom brakuje pieniędzy a przedsiębiorcom realnego popytu na ich towary i usługi.

Ludzie sądzą, zupełnie słusznie, że regulacja ilości pieniędzy w obrocie w poszczególnych sferach gospodarki powinna być domeną polityki finansowej państw w interesie gospodarki i obywateli. To powinny załatwiać państwowe Banki Centralne. Cóż z tego, jeśli system monetarny został skonstruowany neoliberalnie, czyli według zasady, że powinien sam się optymalnie regulować. Narodowych banków centralnych nie wyposażono w dostatecznie skuteczne i precyzyjne instrumenty regulacji ilości pieniędzy w obrocie – szczególnie w sytuacji kryzysu.

Przyjrzyjmy się, jak to działa. NBP (podobnie jak banki centralne w innych państwach) jest bankiem dla krajowych banków komercyjnych. To on udziela im pożyczek, sprzedając lub dając w zastaw obligacje. Obligacje tworzone są z niczego. To po prostu obietnice zwrotu z zyskiem. Głównym, i niemal jedynym, względnie skutecznym instrumentem tej regulacji ilości pieniędzy na rynku, jest ustalana przez Radę Polityki Pieniężnej stopa redyskontowa. Stopa redyskontowa to z grubsza rzecz biorąc „odsetki od pożyczki”, jakie NBP pobiera od banków komercyjnych. Ten „koszt” jest oczywiście składową „kosztu” kredytów, udzielanych potem klientom banków

komercyjnych. Wysoka stopa redyskontowa czyni kredyt drogim i skutecznie zniechęca klientów detalicznych do korzystania z niego. Ale niska stopa redyskontowa niekoniecznie zachęca do ich zaciągania. Decyduje tu bowiem tzw. „zdolność kredytowa” i własna ocena możliwości spłaty. Nic klientów nie zmusi do wzięcia kredytu, nawet jego niskie koszty, jeśli nie mają „zdolności kredytowej”. Dlatego ustalana przez NBP stopa redyskontowa ma tylko bardzo ograniczony wpływ na akcję kredytową banków komercyjnych i jej skutki w postaci ilości pieniędzy pojawiających się w obrocie. Inne instrumenty, jakimi banki centralne mogą wpływać na ilość kredytów udzielanych klientom końcowym, są jeszcze słabsze.

Ale przypomnijmy sytuację, o której pisałam wyżej, że ludziom brakuje pieniędzy a przedsiębiorcom realnego popytu na ich towary i usługi. Wiemy już, że państwa i prowadzone przez nie Banki Centralne mają ograniczony wpływ na ilość kredytów „wchłanianych” przez realną gospodarkę i obywateli, a cykliczne kryzysy to nieodłączna cecha kapitalizmu jaki znamy.

Światowy kryzys 2008 roku, dotknął przede wszystkim państwa USA i UE oraz państwa finansowo od nich zależne. Główną rolę w opanowaniu tego kryzysu odegrało tak zwane „luzowanie ilościowe”. Oznacza to, że największe banki centralne świata Zachodu: Amerykański System Rezerwy Federalnej (FED) i Europejski Bank Centralny (EBC) drukowały, czyli tworzyły z niczego, pieniądze w astronomicznych ilościach (głównie jako obligacje) i kierowały je do narażonych na upadek prywatnych banków komercyjnych, ale „za dużych, by pozwolono im upaść”. A za ich pośrednictwem – do państwowych banków centralnych innych krajów i finansowych korporacji. Oczywiście państwa i korporacje nie otrzymują tych pieniędzy za darmo – to pożyczka spłacana obligacjami państwowymi i innymi aktywami o charakterze zobowiązań. Pożyczkami dysponują państwa, a spłacają je i spłacać będą podatnicy i obywatele. Stworzone dla ratowania banków komercyjnych pieniądze w głównej swej masie pozostają w sferze finansjery. Nie są to, jak to się

obrazowo nazywa, „pieniądze z helikoptera”. Nie zasilają bowiem wprost obywateli. Zostają w bankach i funduszach finansowych. A obywatelom i biznesowi proponuje się politykę cięć kosztów, cięć etatów, redukcje zatrudnienia i (jak np. w Polsce) płace za 5 złotych za godzinę – tak zwaną politykę „austerity”.

Skutkiem polityki finansowej ostatniej dekady, sfera finansowa dysponuje ogromnymi środkami tworząc ogromny „nawis” pieniędzy, który nie zwiększa dostatecznie realnego popytu na dobra konsumpcyjne i materialne (realne) inwestycje w produkcję i usługi, pożytkowane przez ogół konsumentów. Krótko mówiąc bogacze nie mają, co zrobić z „kasą”. Koncentracja środków finansowych w małej grupie ludzi osłabia ogólny popyt i zagraża stabilności finansowej systemu. Trzeba jeszcze dodać, że to zjawisko ma miejsce w gospodarce „nadprodukcji”, o której pisałam, że konsumentom brakuje pieniędzy, by kupować, a biznes ma problem, by sprzedać swój towar. Zatkany pieniędzmi świat finansów rozdawać ich oczywiście nie chce, a inwestycje w realną gospodarkę ogranicza niedostateczny popyt. Zatem właściciele nadmiaru kapitału rozpaczliwie szukają miejsc, gdzie mogą go pomnażać lub choćby bez straty przechować.

Świetną lokatą, bo bardzo bezpieczną, okazują się obligacje państwowe. Państwom brakuje pieniędzy na usługi społeczne (ochronę zdrowia, emerytury, pomoc socjalną) i inwestycje publiczne, bo nie dość skutecznie ściągają pieniądze z korporacji i biznesu, a tymczasem frustracja społeczna rośnie. Zatem państwa zadłużają się do gigantycznych rozmiarów, emitując obligacje i powiększają „swoje długi” wobec dysponentów kapitału. No, ale to my podatnicy płacimy odsetki i ponosimy koszty tego długu.

Nawis kapitału w rękach nielicznych znajduje także ujście na rynku akcji. Bywa, że ceny akcji firm szybują pod niebo i tworzą tzw. bańki spekulacyjne, albo lokowane są w czysto spekulacyjne, ryzykowne instrumenty finansowe, tzw. derywaty.

To oczywiście prowadzi do erupcji kolejnego światowego kryzysu finansowego, na którym (jak do tej pory zawsze) tracą w efekcie zwykli zjadacze chleba. Ktoś spyta, dlaczego to my tracimy, a nie właściciele kapitału? Bo banki centralne (jako banki banków) ratując system przed upadkiem, zasilają w kryzysie w pieniądze swoich klientów – czyli komercyjne banki – a nie nas.

Jest i trzecia, najbardziej chyba dochodowa, droga do lokowania pieniędzy. To inwestycje w produkcję zbrojeniową. Tu także głównie państwa są jej odbiorcami oraz decydują o wojnie i pokoju. Państwa „walczą z państwami", „walczą z terroryzmem", „walczą o pokój społeczny", „walczą z zagrożeniem pokoju". Nikt chyba nie ma złudzeń, każdy wie, że politycy zbyt często „ulegają" wpływom właścicieli kapitału. A biznes zbrojeniowy rozkwita szczególnie w czasie wojny. Jest jasne, kto za to płaci. Czyż nie?

Czy takie same byłyby skutki polityki finansowej i monetarnej, gdyby zależała ona od świadomych decyzji ogółu obywateli?

Autorstwo: Anna Grodzka
Źródło: Strajk.eu